Pasjonatka

Rozmowa z aktorką, pisarką, malarką… etc. – Barbarą Rybałtowską.



Barbara Rybałtowska, fot. TVP.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pani zainteresowania są niezmiernie bogate. Jest pani pisarką, malarką, występuje pani na scenie, śpiewa piosenki. Skąd się wzięło w pani tyle pasji?

Barbara Rybałtowska: Rzeczywiście, straszna ze mnie „pasjonatka”. Skąd się to wzięło? Gdzieś to sobie we mnie drzemie, a jak się obudzi, to porywa mnie bez reszty. Nie wszystkie te moje pasje traktuję serio, chociaż całkowicie im ulegam. Ma się rozumieć, nie robię tego wszystkiego jednocześnie, po prostu, dla higieny psychicznej stosuję „płodozmiany”.

Pisarka

JSG: Napisała Pani przepiękna i wzruszającą VIII-częściową sagę rodzinną, której tematem są wojenne i powojenne losy pani i pani matki: „Bez pożegnania”, „Szkoła pod baobabem” i „Koło graniaste”, „Mea culpa”, „Czas darowany nam”, „Jak to się skończy”, „Co to za czasy”, „Co tu po nas zostanie”.

Kończą się beztroskie wakacje, zaczyna się wojna, ojciec zostaje wywieziony (zginął w Katyniu), a matka wraz z panią zostaje zesłana do gułagu. Podróż z Syberii do Afryki, to temat pierwszej książki z serii „Bez pożegnania”. Pisze pani oczami matki, która znalazła w sobie nadludzką siłę przetrwania. Dla pani, małej wówczas dziewczynki, chciała żyć. Takie przeżycia tworzą niezwykle silny związek. Proszę powiedzieć, dla kogo napisała pani tę wspaniałą, wzruszającą do łez sagę, uczącą optymizmu i woli życia?

BR: Przede wszystkim, tak jak wynika z dedykacji, dla Mamy, żeby ją uwiecznić. Ale nie tylko, również dla córki i wnuków i w ogóle dla potomnych, dla siebie także. Tak robią wszyscy piszący, to jest potrzeba podzielenia się ze światem swymi przemyśleniami, wątpliwościami, nadzieją. Ta moja saga rodzinna nie jest li tylko historią mojej rodziny. Jest poszerzona o losy innych Polaków, tło historyczne. Czyta ją moje pokolenie, ale też coraz więcej ludzi młodszych.

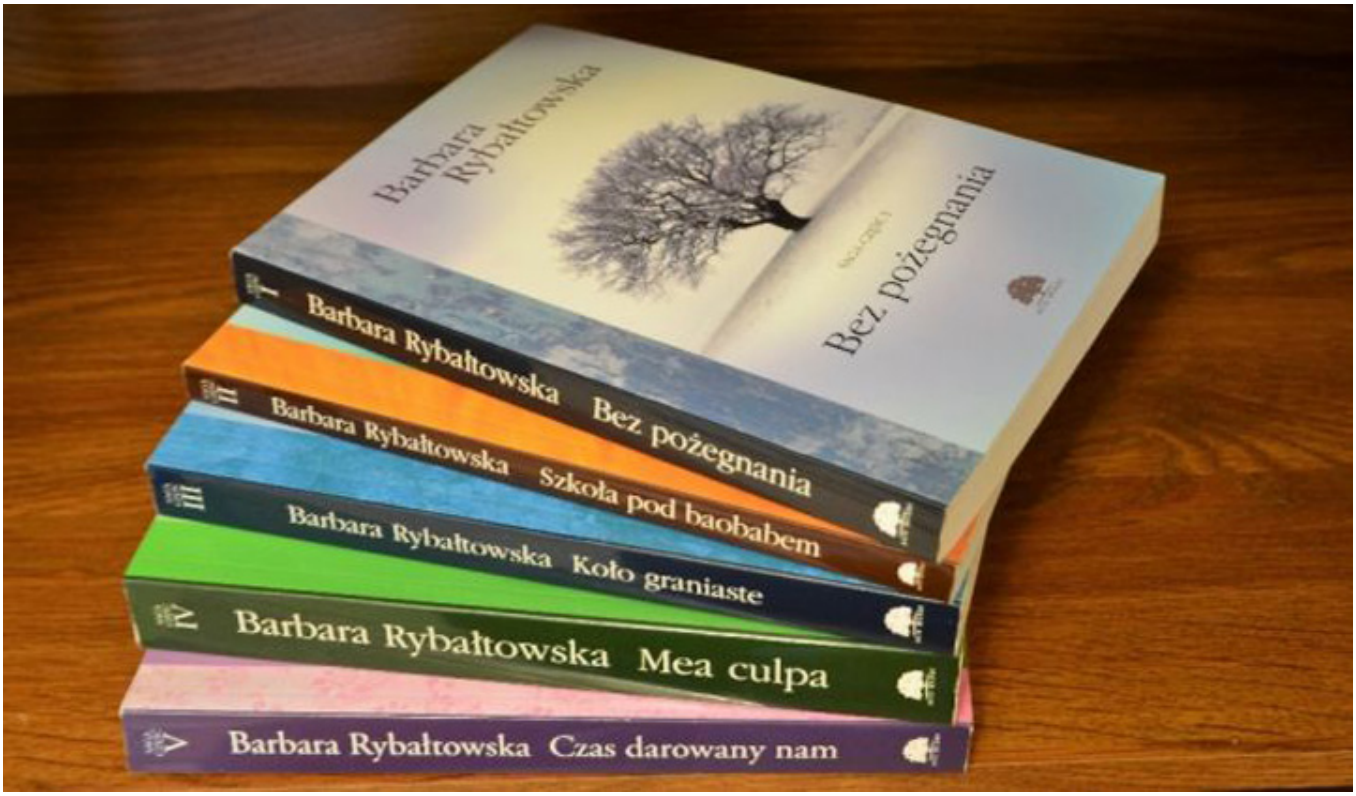
JSG: Wiem, że kontaktował się z panią reżyser Jerzy Antczak. Czy są jakieś szanse na ekranizację „Bez pożegnania”?

BR: To fakt, że jest wielkim fanem tej książki, ale z różnych względów nie może tego zrobić. Natomiast przeczytanie przez Jadwigę Barańską i Jerzego Antczaka mojej sagi zaowocowało wspaniałą przyjaźnią między nami, którą sobie bardzo cenię. Jurek napisał swoje wspomnienia. Bardzo pożyteczna i mądra lektura, powinna odnieść sukces.

JSG: Pisze Pani też powieści: „Romans w Paryżu”, „Kuszenie losu”. Książki wciągają czytelnika – interesująco prowadzona intryga i zawarte w niej życiowe przesłanie. Skąd Pani bierze pomysły na powieści?

BR: Najpierw rodzi się problem, który mnie nurtuje, potem

metoda jaką chciałabym to przekazać, a na końcu wypełnia się to treścią. A ta najczęściej mnie samą zaskakuje. Dlatego właśnie pisanie jest fascynującą przygodą.



Saga rodzinna Barbary Rybałtowskiej.

Biografistka

JSG: Napisała Pani biografie: Barbary Brylskiej, Barbary Wrzesińskiej, Igi Cembrzyńskiej, Stefana Rachonia oraz Czesława Ciotuszyńskiego, konstruktora statków kosmicznych z USA. Co zafascynowało Panią w tych osobach, że zapragnęła Pani zgłębić ich życie?

BR: Kiedy sięgamy po pióro, żeby pisać czyjąś biografię, na ogół

jest to osoba, która porusza wyobraźnię nie tylko piszącego, ale szerszych kręgów ludzi. O Basi Brylskiej pisałam po to, żeby po jej tragedii *(śmierć córki, przyp. JSG)* pomóc się jej podnieść, spojrzeć na to, co było dobre w życiu, zająć ją czymś.

Inne moje bohaterki to też wybitne aktorki. Fascynacja nimi rosła w trakcie pracy nad książką. Biografię pana Ciotuszyńskiego pisałam na jego zamówienie. Moja córka dokonała przekładu na język angielski. W amerykańskiej wersji bohater nie umieścił nazwiska ani tłumaczki, ani nawet autorki – no, cóż… Powiedział mi, że ktoś mu doradził, że tak będzie dla niego lepiej. Nie komentuję…

JSG: Przeprowadzam wywiady z różnymi ludźmi, artystami, naukowcami. Zauważyłam, że każda z tych osób coś mi zostawia, jakąś energię, zdanie, które zapamiętam do końca życia, sposób widzenia świata, sposób odczuwania. Gromadzę sobie taki swój „kufer ze skarbami". Czy Pani też związuje się emocjonalnie z osobami, o których pani pisze?

BR: Śledzenie czyichś losów zawsze jest pouczające. Łapię się często na tym, że w trakcie pracy następuje taki moment, kiedy się identyfikuję z bohaterami do tego stopnia, że zaczynam im wkładać w usta zdania tkwiące we mnie. Wtedy szybko dokonuję korekty i wracam na ziemię. Zawsze głębsza analiza drugiej

osoby jest też inspirująca.

Aktorka-autorka

JSG: Napisała pani monodram pt. „Próba u Poli Negri” i z powodzeniem pani w nim występowała. Proszę powiedzieć, dlaczego zainteresowała się pani tą postacią?

BR: W czasie trwania mego paryskiego śpiewania wśród muzyków francuskich, nie wiem czemu, miałam „ksywę” Pola Negri. Nie przywiązywałam wtedy do tego wagi. Ale dwa lata temu moja koleżanka aktorka poprosiła mnie o napisanie dla niej monodramu z piosenkami o Marlenie Dietrich. Zaczęłam zbierać materiały. W trakcie tej pracy natknęłam się na pamiętniki Poli Negri. Równocześnie – zbiegiem okoliczności – dostałam w prezencie płytę z nagraniami filmowych przebojów Poli Negri. Spodobały mi się i zaczęłam je tłumaczyć, gdyż ona nigdy nie śpiewała po polsku. Pokazałam te przekłady pewnemu wybitnemu reżyserowi, a on nieoczekiwanie powiedział: a czemu ty sobie nie napiszesz dla siebie monodramu o Poli? Pasowałabyś do tego. Roześmiałam się najpierw, a potem zaczęło mnie to nurtować. No i po dwóch miesiącach, sztuka była gotowa. Łańcuszek dobrej woli, jaki rozpętał się w czasie jej powstawania dobrze wróżył. Wciąż ktoś mi przynosił, a to kolejną książkę o Poli, a to jakiś jej film, a wydział kultury Miasta Stołecznego Warszawy w drodze konkursu pomógł w sfinansowaniu przedsięwzięcia. Premiera odbyła się 16 stycznia 2006 roku w

Sali Reprezentacyjnej Zaiksu przy komplecie widzów.

Pola miała fascynujące życie. Ja grałam dość wiekową gwiazdę, która szykuje się do recitalu swoich filmowych hitów na balu charytatywnym. Stąd tytuł: „Próba u Poli Negri”. Telefon z Polski skłania ją do refleksji nad całym jej życiem.

Sztuka miała powodzenie, a dla mnie była wspaniałą odskocznią od siedzenia przy komputerze. To takie *katarsis*, żebym nie zardzewiała.



Barbara Rybałtowska na Targach Książki w Warszawie/

Malarka

JSG: Jak to się stało, że zaczęła pani malować?

BR: Malować zaczęłam stosunkowo późno. Moja siostra była

uczennicą Liceum Sztuk Plastycznych, potem studiowała architekturę wnętrz, malowała. Podglądałam ją, nawet nie wie jak jej zazdrościłam. Aż tu kiedyś w Paryżu, gdy śpiewałam w ekskluzywnym kabarecie usytuowanym przy l' Avenue de l'Opera, w oczekiwaniu na mój występ szkicowałam jakieś krajobrazy, portreciki kolegów artystów. Właściciel kabaretu zaglądał w te moje rysunki przez ramię i powiedział:

Właśnie zamierzałem zmienić wystrój kabaretu i wiem, kto zrobi dekoracje.

– Tak? To dobrze – odrzekłam zdziwiona, że mi się zwierza ze swoich planów.

– Ciebie, Barbara mam na myśli – dodał.

– Mnie? Ja miałabym robić remont?

– Bez przesady! Ale jak już będzie po remoncie, mogłabyś zrobić dekoracje.

– Nie rozumiem.

– Po prostu, kupię farby artystyczne do tynków, drewna i szkła, a ty wymalujesz wszędzie takie obrazki, jakie tu robisz – wszędzie: na ścianach, witrynach i drzwiach.

– Żartujesz…

– Bynajmniej nie. No oczywiście, musisz w tych malowidłach nawiązać do charakteru kabaretu, a poza tym masz wolną rękę.

– Naprawdę dostanę farby i będę mogła malować na szkle, drewnie i ścianach, naprawdę? – niedowierzałam memu szczęściu.

(Działo się to w czasach głębokiego Peerelu, kiedy farby i wszelkie insygnia malarskie były niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Zawodowi plastycy, uczniowie i studenci szkół artystycznych kupowali je w specjalnych sklepach dostępnych tylko dla nich, na jakieś tajemnicze talony, przydziały).

– Farby dostaniesz ode mnie w prezencie, ile zużyjesz, to zużyjesz, reszta twoja, no i oczywiście dostaniesz honorarium – kontynuował mój szef.

Jak powiedział, tak się stało. Za kilka dni, zaopatrzona w palety, pędzle i farby zaczęłam moją zwariowaną przygodę. Po paru tygodniach nastąpiło otwarcie kabaretu w nowej szacie. Było gwarnie, szumnie i tłumnie. Nazajutrz w jednej z paryskich gazet pojawiła się recenzja. Przechowuję ją do dzisiaj: *…W nowo odrestaurowanym wnętrzu kabaretu snują się błękitnawe dymy, z nich wynurza się Barbara z mikrofonem. Obrazy przywodzące*

na myśl Chagalla, patrzące ze ścian, – ba! nawet z sufitu są wdzięczną oprawą dla rzewnych melodii. Publiczność oklaskuje dziś nie tylko wokalistkę, ale i autorkę dekoracji jedynej w swoim rodzaju – oklaskuje Barbarę…

Najzabawniejsza jest pointa tej mojej przygody. Chociaż honorarium za dekorację było pokaźne, to niewiele większe od sumy, którą zainkasowałam za pochlapaną farbami deskę, która służyła mi wtedy za paletę. Kupił ją, wprawiając mnie w osłupienie pewien „galernik" (właściciel galerii sztuki współczesnej), bo uznał ją za interesujące „Tableau moderne"… Nie bez kozery śpiewam więc: *…ja nie artystka – ja szarlatanka!*

***

JSG: Artyści, ludzie pióra, patrzą na świat wnikliwie i umieją docenić jego wartość. Proszę powiedzieć, co dla Pani w życiu jest najważniejsze?

BR: Moja rodzina – jej spokój, zdrowie i szczęście. Ale też ten piękny i dziwny świat. Chciałabym, żeby było pięknie, spokojnie, żeby był czas na realizowanie marzeń, pomysłów. Zgoda i harmonia, mają dla mnie duże znaczenie i przyroda też. Kocham las, wodę, włóczęgi po puszczy Piskiej. Po prostu kocham życie.

Wywiad ukazał się w „Przeglądzie Polskim", tygodniowym

dodatku kulturalnym „Nowego Dziennika” z Nowego Jorku, 7 marca 2008 r.

———————

Barbara Rybałtowska Pisarka, autorka tekstów, aktorka, malarka – artystka wszechstronna. Pracę artystyczną rozpoczynała w studenckich kabaretach STS-u. Dzięki działalności w Zespole Pieśni i Tańca “Mazowsze” trafiła na estradę i do teatru Syreny. Przekłada wiersze i prozę z języka rosyjskiego i francuskiego. Ma w dorobku powieści: “Bez pożegnania”, “Szkoła pod baobabem”, “Koło graniaste”, “Romans w Paryżu”, „Kuszenie losu” oraz poczytne, zbeletryzowane biografie ludzi z kręgu kultury: m.in.: “Barbara Brylska w najtrudniejszej roli”, “Barbara Wrzesińska przed sądem”, “Iga Cembrzyńska sama i w duecie”, oraz “Stefan Rachoń”, „Moc przeznaczenia” (biografia Czesława Ciotuszyńskiego – Polonusa z USA, konstruktora statków kosmicznych).

Beresteczko

Kresy – przywracanie pamięci



Beresteczko. Panorama.

Alf Soczyński

Aby z Dubna dojechać do Beresteczka, najbardziej kojarzącego się Polakom z wielką zwycięską bitwą stoczoną w roku 1651 z Kozakami, trzeba pokonać ponad trzydzieści kilometrów, jadąc na zachód przez Góry Pełczańskie. Warto wybrać tę trasę, gdyż wiedzie ona jedną z najbardziej malowniczych części Wyżyny Wołyńskiej, a w Beresteczku i okolicy znajduje się wiele cennych

zabytków. Pierwszą większą miejscowością na naszej drodze jest **Pełcza,** od której przyjęła się nazwa okolicznych gór. Kilka kilometrów na północ od Pełczy jest wzniesienie o wysokości 325 m n.p.m. i uroczysko **Czartoria**, którego nazwa związana jest z bardzo rozpowszechnionymi na Wołyniu prastarymi legendami o czarcich postępkach, czarownicach i czarach. Na południu, w okolicach wsi **Budy,** jest najwyższe wzniesienie Gór Pełczańskich o wysokości 358 m n.p.m. Względna wysokość wzniesień zalesionych drzewami liściastymi, zwłaszcza grabami, dębami i jesionami, wynosi tu od kilkudziesięciu do niecałych stu metrów. U ich podnóży widnieją liczne wąwozy i jary, często o urwistych bokach, którymi płyną strumienie i rzeczki. Na nasłonecznionych stokach i dolinach w okresie kwitnienia pojawiają się barwne i aromatyczne dywany stepowej roślinności ciepłolubnej. Te tereny to pozostałość pierwotnej puszczy, wyrwanej przyrodzie przez człowieka z powodu żyznej gleby. Tak wyglądała większość terenu Wyżyny Wołyńskiej, zanim człowiek nie wykarczował lasów i nie zaorał stepu. Do mniejszych miejscowości można tu dotrzeć jedynie drogami gruntowymi.

Beresteczko i **Boremel** leżą po przeciwległych stronach Zalewu Chrynickiego, wydłużonego zbiornika o nieregularnych kształtach, powstałego w wyniku przegrodzenia po II wojnie światowej wołyńskiego przełomu Styru w okolicach miejscowości **Chryniki**.

Beresteczko leży na południowym krańcu zalewu chrynickiego w rejonie Horochowskim. Trzeba więc od **Boremela** przejechać kilkanaście kilometrów wzdłuż zachodnich brzegów zalewu, aby znaleźć się na polach sławnej bitwy.

Zalew rozciąga się mniej więcej pośrodku dawnego systemu grodów usytuowanych wzdłuż biegu Styru, w pasie od południa na północ. Warto w tym miejscu przypomnieć ich nazwy, dziś zapomniane, a kiedyś często obecne na kartach dawnych zapisów historycznych. Najdalej na południe leżał gród **Korytno**, gdzie dziś jest wieś o tej nazwie, od niego na północ był gród w **Beresteczku,** w pobliżu którego był gród książęcy **Peremyl**, na północy był opisywany już **Boremel**, a jeszcze dalej na północ, gród **Bilcze.** W odległości około dwudziestu kilometrów od tego ostatniego, był gród **Nieświcz**, osłaniający południowo zachodnie przedpola **Łucka**, znacznie oddalony na zachód od koryta Styru.



Beresteczko

Zanim znajdziemy się w **Beresteczku**, zwiedzamy **Peremyl**, który był w tej okolicy głównym grodem i stolicą udzielnego księstwa. Historiografowie mylili go czasami z **Przemyślem**. Tutejszy gród na wysokim cyplu oblanym wodami Styru, istniał

już w czasach Lubarta Giedyminowicza w XIV wieku. Przechodził z rąk do rąk różnych rodzin ziemiańskich, by z czasem stać się własnością **Rafała Leszczyńskiego**, ojca przyszłego króla Stanisława. Następnie dobra przeszły do Skrzyńskich, a po nich do Pietruszewskich. Ostatnimi właścicielami byli Wroczyńscy, którzy najpierw dzierżawili, a potem odkupili posiadłość od barona Gustawa Grothausa. Na miejscu zniszczonego w XVI wieku przez Tatarów zamku, Pietruszewscy wznieśli w XVIII wieku pałacyk, utrwalony na rysunkach Napoleona Ordy. Został on zniszczony przez wojska austriackie w roku 1914. Z **Peremyla** jest już tylko pięć kilometrów do Beresteczka.

Beresteczko także miało niegdyś niewielki gród, położony na wyspie utworzonej przez rozwidlenie Styru, powiązany z głównym grodem w pobliskim **Peremylu** i było siedliszczem ruskich książąt Bohuszów – Bohutywinów. W połowie XVI wieku, kolejny właściciel Aleksander Proński sprowadził tu arian. Zachował się na okolicznym wzgórzu jego wielki pomnik nagrobny w kształcie stożka, gdzie na jednej z cegieł jest wyryty napis informujący o wizycie króla Stanisława Augusta w roku 1787. Króla przyjmował w swojej rezydencji, postawionej na miejscu dawnego zamku książąt Prońskich, Jan Jakub Zamojski. Obok wybudowany został w roku 1802 przez wdowę po Zamojskim, Katarzynę Platerową z Sosnowskich, pałacyk klasycystyczny, stykający się narożnikiem z dawną rezydencją. Wokół budowli znany ogrodnik Dionizy Mikler urządził

efektowny park z widokami na rzekę, która przepływała przez środek parku. W okresie międzywojennym był tu sierociniec, prowadzony przez siostry zakonne. W przebudowanym po II wojnie światowej pałacu mieści się dom pomocy społecznej. Natomiast park dziś jest chronionym zabytkiem przyrody. Dawny barokowy kościół farny z I połowy XVIII wieku, uznany ongiś za najpiękniejszy na Wołyniu, znajduje się od czasu II wojny światowej w ruinie.

Nieopodal na jednym ze wzgórz jest kaplica św. Tekli, upamiętniająca 500 pomordowanych przez Tatarów dziewic. Na innym jest wysoki obelisk – pomnik nagrobny księcia Aleksandra Prońskiego i jego siostry Marii. Na jednej z cegieł obelisku jest inskrypcja informująca o pobycie tu króla Stanisława Augusta w roku 1787. Podobno pod tym pomnikiem król Jan Kazimierz wysłuchał mszy świętej przed słynną bitwą. Po bitwie ufundował tu drewnianą kaplicę. Na przełomie lipca i sierpnia roku 1920 pod **Beresteczkiem** oddziały polskie powstrzymywały marsz armii konnej Budionnego na Lwów. Miasteczko znane było w przeszłości z okolicznych jarmarków i wielu urokliwych XVIII – XIX wiecznych dworków, z których do dziś zostało zaledwie kilka. Obecnie **Beresteczko** jest miasteczkiem liczącym nieco mniej niż dwa tysiące mieszkańców, co stanowi niemal jedną trzecią ludności z XIX wieku i liczby mieszkańców do roku 1939.



Beresteczko, 1938 r.

Na wschód od **Beresteczka** jest pobojowisko z roku 1651. Jest tu cmentarz katolicki, którego kaplica pełniła funkcje kościoła katolickiego, a dziś służy wiernym wyznania greko-katolickiego.

Bitwa pod Beresteczkiem rozegrała się w dniach 28-30 czerwca 1651 r. i była największą z bitew w czasie zmagań polsko-kozackich. Wojska Bohdana Chmielnickiego razem ze wspierającymi go około 30 tysiącami Tatarów, liczyły razem około 110 tysięcy żołnierzy. Wojsko polskie dowodzone przez króla Jana Kazimierza ocenia się na około 75 tysięcy. Pierwszy główny impet decydującego uderzenia polskiego, które nastąpiło

30 czerwca, został skierowany na Tatarów. Nie wytrzymawszy go, porwali oni Bohdana Chmielnickiego i rzucili się do ucieczki. Kozacy pozbawieni głównego dowódcy zaczęli w panice ustępować z pola walki, cofając się w kierunku odległej o 5 kilometrów od Beresteczka wsi **Plaszowa**, pod którą schronili się w umocnionym taborze. Otoczyły ich oddziały polskie. Podjęte rokowania nie przynosiły ugody. 10 lipca dowodzący kozakami Iwan Bohun, wraz z częścią starszyzny, usiłował podjąć próbę przebicia się przez polskie okrążenie, co większość kozaków potraktowała jak próbę ucieczki i ich oddziały ogarnęła panika. Tratując się nawzajem rozpoczęli ucieczkę z obozu przez błota i bagna zalegające nad rzeką Plaszówką. Polacy rzucili się w pogoń za nimi, która zamieniła się w rzeź. Rozproszone grupy uciekających broniły się bohatersko na wyspach i wzgórzach pośród bagien. Poległo około 30 tysięcy kozaków przy minimalnych stratach polskich.

W roku 1966 pod **Plaszową** utworzono rezerwat historyczny „Kozackie mogiły” z pomnikiem ku czci poległych kozaków i niewielkim muzeum, w którym zgromadzono znaleziska z pola bitwy. Głównym obiektem jest monumentalna Cerkiew–Mauzoleum poległych kozaków im. św. Jerzego, gdzie władze organizują masowe imprezy religijno-patriotyczne.

Książka „Być jak Pągowski” i spotkanie z mistrzem plakatu.



Plakaty filmowe Andrzeja Pągowskiego

Plakaty Pągowskiego od A do Z – nowa wystawa we Wrocławiu

28 lipca 2018 r. we Wrocławiu będzie można spotkać mistrza polskiego plakatu Andrzeja Pągowskiego na wernisażu wystawy plakatów filmowych, tworzących „Filmowy alfabet Andrzeja Pągowskiego". Spotkanie z artystą zorganizowane zostanie w ramach 18. Festiwalu Nowe Horyzonty.

Na wystawie zgromadzono ok 100 plakatów, od „ABBY" do „Życia wewnętrznego". Niektóre kultowe, inne mniej znane, wszystkie na miarę wielkiego plakacisty.

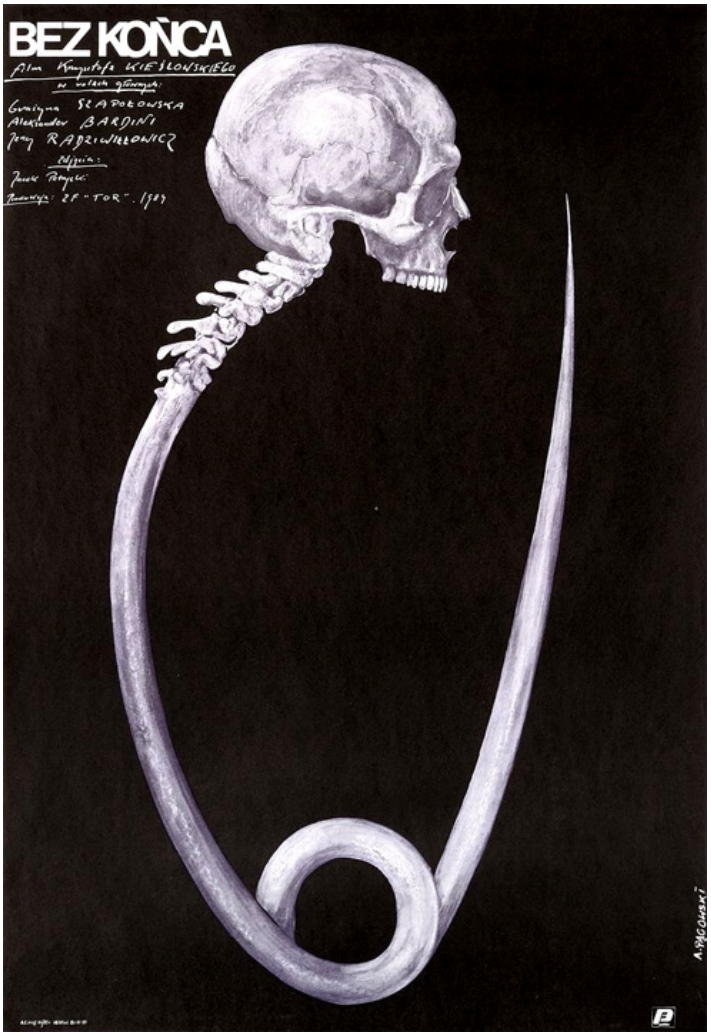
Spotkanie z Pągowskim odbędzie się w Galerii Polskiego Plakatu, mieszczącej się przy ul. Św. Mikołaja we Wrocławiu. W godzinach 18.00 – 21.00 można będzie wysłuchać ciekawych, zabawnych i inspirujących opowieści Pągowskiego na temat jego dzieł i okoliczności ich powstania. Uczestników wydarzenia nie ominie szansa na uzyskania autografu od samego autora na plakacie wystawy czy w jego najnowszej książce „Być jak Pągowski" będącej owocem jego rozmowy z Dorotą Wellman.

Wystawa eksponowana będzie w dniach 26. lipca – 11. sierpnia, czyli w czasie, gdy we Wrocławiu odbywać się będzie wielkie święto filmowe – 18. MFF Nowe Horyzonty. Wystawa oraz wernisaż uświetnią festiwalowe obchody, jednak same w

sobie stanowić będą nie lada atrakcję dla Wrocławian jak i licznie przybywających w tym czasie do miasta turystów.



Plakat wystawy



Bez końca

Andrzej Pągowski to bezsprzecznie jeden z największych mistrzów polskiego plakatu a jego prace na zawsze zrosły się z filmami m.in. Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Kieślowskiego, Juliusza Machulskiego. Trafiły też do kolekcji m.in. Centrum Pompidou w Paryżu, Muzeum Wiktorii i Alberta w Londynie i Museum of Modern Art w Nowym Jorku. W swoim oszałamiającym dorobku zgromadził ok 1400 plakatów, w tym ok 600 filmowych, spośród których ok 200 dotyczy filmów polskich. Nie jest to jednak zamknięta statystyka, ponieważ Pągowski nadal tworzy i nie myśli o emeryturze. Ostatnio tworzył plakaty dla filmów

„Powidoki”, „Pokot” czy „Kamerdyner” i „7 uczuć”.

W zeszłym roku Andrzej Pągowski obchodził 40-lecie swojej twórczości, którą chciał uczcić poprzez namalowanie 40 plakatów. Nie udało się – zaprojektował ich aż 80! Obecnie pracuje nad plakatami do filmu Wojciecha Smarzowskiego i ma nadzieję, że w tym roku ich liczba nie będzie mniejsza.

Plakaty filmowe są ważną częścią twórczości Pągowskiego. Sam twierdzi, że woli plakaty filmowe od teatralnych bo są dla niego „łatwe” w tworzeniu. Film traktuje jako medium podpowiadacza, a podczas tworzenia lubi współpracować z reżyserem. To gwarantuje najlepsze efekty i ogromne rzesze miłośników, do których należy sam Krzysztof Kieślowski czy Marek Koterski.


KOMEDIA FILMOWA PRODUKCJI POLSKIEJ
MIŚ
Reżyseria:
STANISŁAW BAREJA
Produkcja: Zr. „Rapsodyna"
Występują:
KRZYSZTOF KOWALEWSKI
CHRISTINE PAUL
BRONISŁAW PAWLIK
STANISŁAW TYM

Miś



Amator

Do najbardziej znanych i lubianych należą m. in. plakaty do filmu „Miś”, „Abba”, „Bal”, „Człowiek z żelaza”. Sam artysta twierdzi jednak, że nie ma swojego ulubionego. – *Jestem tak naprawdę jak zwierzę plakatowe i myśliwy w trakcie jego tworzenia. Poluję na pomysł i jak złapię go – po prostu tworzę. Nie rozpamiętuję ich. Rzecz skończona jest skończona. Jednak lubię te, które lubią ludzie, o które pytają* – przyznaje Andrzej Pągowski. – *Jest jednak jeden plakat, który jest dla mnie szczególnie ważny przez wzgląd na emocje jakie towarzyszyły mi w trakcie jego tworzenia, który jest spójny z moją dewizą życiową. To plakat „Przypadek”* – dodaje.



Andrzej Pągowski, fot. D. Roman.

Andrzej Pągowski – biogram

KILKA SCENOGRAFII, KILKANAŚCIE MURALI, KILKADZIESIĄT OKŁADEK, KILKASET PORTRETÓW, KILKA TYSIĘCY RYSUNKÓW, ALE PRZEDE WSZYSTKIM PLAKATY.

Rocznik 1953. Absolwent PWSSP w Poznaniu, Wydział Plakatu, dyplom u prof. Waldemara Świerzego. Autor ponad 1300 plakatów wydanych drukiem od 1977 roku w Polsce i za granicą. Ponadto zajmuje się ilustracją książkową i prasową, jest autorem okładek wydawnictw płytowych, scenografii teatralnych i telewizyjnych, scenariuszy filmów i teledysków.

W 1989 roku rozpoczął pracę w reklamie, nie przerywając indywidualnej twórczości graficznej, jest dyrektorem kreatywnym i właścicielem firmy Kreacja Pro

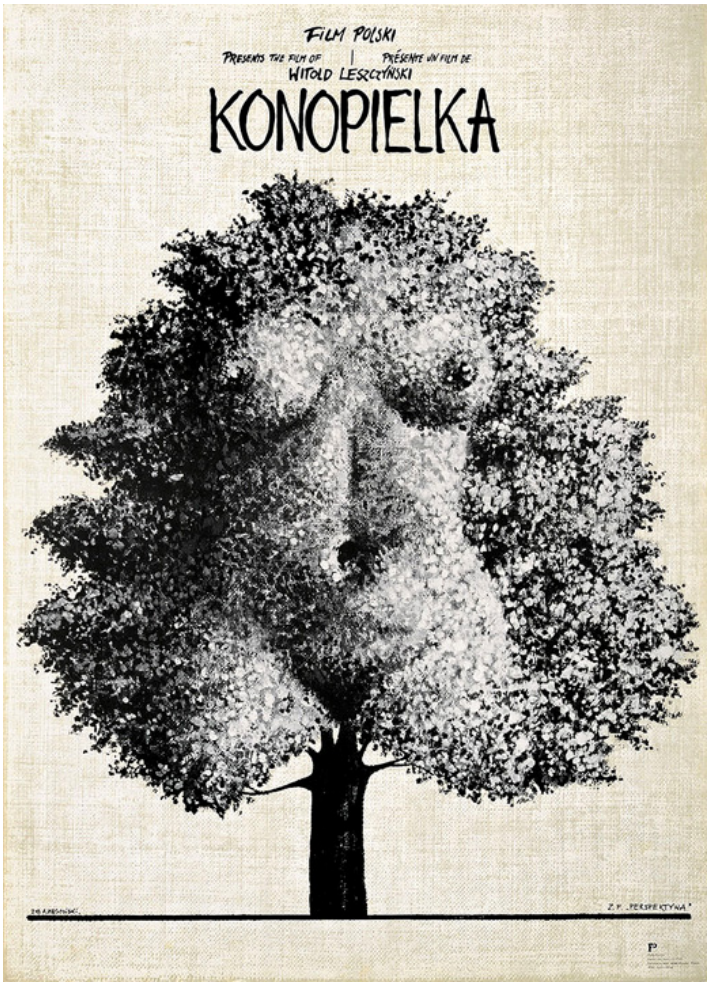
Od kliku lat uprawia malarstwo w technice print druk na płótnie. Równolegle tworzy portrety na zamówienie.

Swoje prace Andrzej Pągowski prezentował na licznych wystawach indywidualnych w kraju i zagranicą. Jest laureatem kilkudziesięciu nagród polskich i zagranicznych, wśród których warto wymienić kilkanaście najwyższych trofeów na Międzynarodowym Konkursie na Najlepszy Plakat Filmowy i Telewizyjny (w tym 6 Złotych Medali i tytuł The Best of Show) w

Los Angeles oraz kilka nagród głównych na Międzynarodowym Konkursie na Plakat Filmowy w Chicago.




polishposter.com
Galeria
Plakatu


FILM POLSKI
PRESENTS THE FILM OF | PRÉSENTE UN FILM DE
WITOLD LESZCZYŃSKI
KONOPIELKA
Z. F. „PERSPEKTYWA"

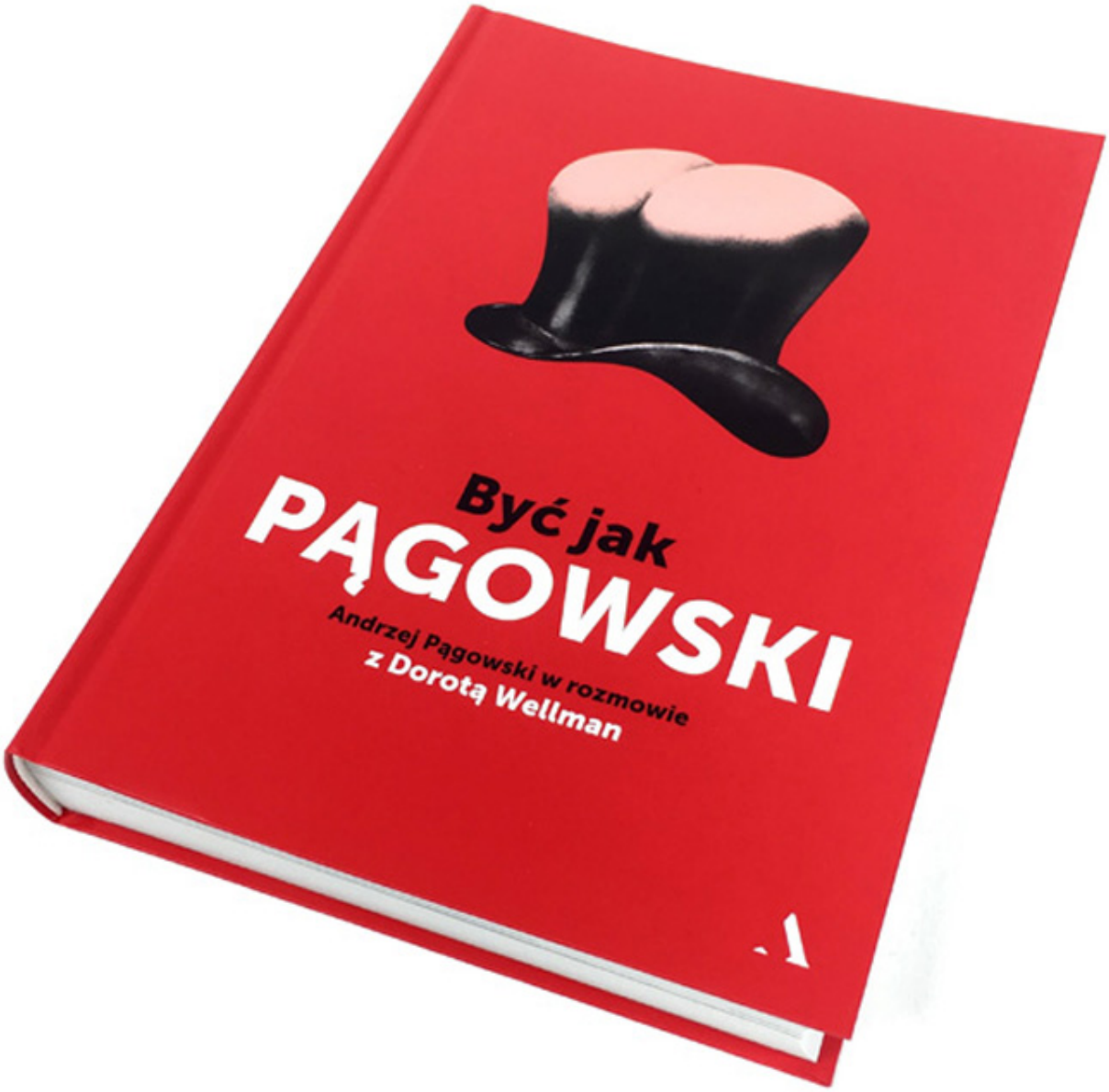


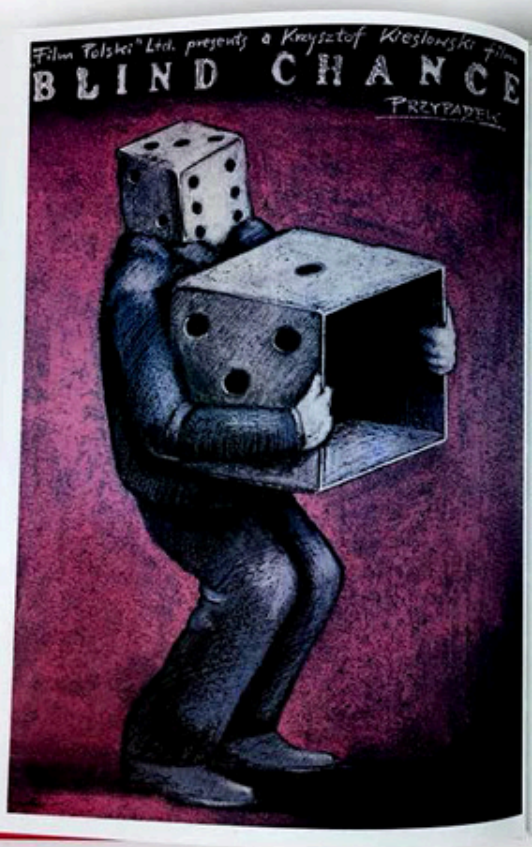
Jego prace znajdują się w wielu kolekcjach prywatnych i państwowych, między innymi w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku i San Francisco, w Centrum Pompidou w Paryżu. Metropolitan Museum of Modern Art umieściło plakat „Uśmiech wilka” wśród 100 najważniejszych dzieł sztuki nowoczesnej w zbiorach MoMA.

Autorskie reprinty plakatów dostępne w Andrzej Pągowski Art. Gallery powstają z wykorzystaniem barwników najwyższej jakości, na papierze o podwyższonych walorach artystycznych.

Ich podstawą są skany oryginalnych prac. W odróżnieniu od na ogół wyblakłych pierwodruków z minionych lat, mają oryginalną, intensywną kolorystykę. Dzięki temu są bardzo dekoracyjne i stanowią interesujący element wystroju wnętrz.

Na życzenie odbiorcy reprint może mieć własnoręczną sygnaturę twórcy. Może to przedłużyć czas realizacji zlecenia.


Być jak
PĄGOWSKI
Andrzej Pągowski w rozmowie
z Dorotą Wellman



1981: I Nagroda na VIII Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Stambule, wyróżnienie na Międzynarodowym Konkursie na Najlepszy Plakat Filmowy „The Hollywood Reporter Annual Key Art Awards" w Los Angeles w 1988 roku

Przypadek Kieślowski

Kto do kogo trafił – ty do niego czy on do ciebie?
Nie, nie, nie. Pierwsza współpraca to był zupełny przypadek. Helena Damęcka z Filmu Polskiego zobaczyła mój pierwszy plakat do *Męża i żony* i uznała, że warto zaprosić mnie do współpracy. Pewnego dnia – to było chyba moje drugie zlecenie dla tej instytucji – dostałem do zrobienia *Amatora*. Zrobiłem tę słynną cegłę. Spotkałem się wtedy z Kieślowskim. Krzysio nie był człowiekiem wylewnym, ale powiedział, że zaskoczyło go moje podejście do tematu i jak będzie kręcił następny film, to chętnie powierzy mi zrobienie plakatu. Ja nie potraktowałem tego do końca poważnie. Pomyślałem sobie: „Fajnie".

Potraktowałeś to jak grzecznościową, konwencjonalną gadkę?
Tak. Niesłusznie, bo od tamtego momentu wszystkie plakaty do filmów Kieślowskiego, aż do jego śmierci, robiłem ja. Nigdy nie robił ich nikt inny.

Wszystkie?
Do wszystkich jego filmów, oprócz *Trzech kolorów*, a dokładnie oprócz *Białego* i *Czerwonego*, bo *Niebieski* jeszcze zrobiłem. To był mój ostatni plakat dla Krzysztofa za jego życia, bo po jego śmierci zrobiłem jeszcze plakat o nim samym, na retrospektywny przegląd jego filmów. No i wielki projekt „Kieślowski na nowo", gdzie w 20. rocznicę jego śmierci na Festiwalu Filmowym w Gdyni pokazałem 45 plakatów do wszystkich filmów fabularnych, dokumentalnych i etiud. Wszystkie zrobione na nowo po obejrzeniu filmów. Pokazałem tam cały *Dekalog*, który z racji emisji w telewizji nie miał oficjalnych plakatów. To było bardzo ciekawe doświadczenie zobaczyć te filmy na nowo i skomentować je w stylistyce naszych czasów. Bardziej znakowo. Bardziej symbolicznie.



Wernisaż wystawy „Andrzej Pągowski. Plakaty filmowe od Abby do Życia wewnętrznego”

Data: 28. lipca godz. 18.00 – 21.00

Miejsce: Galeria Plakatu, ul. Św. Mikołaja 54/55, 50-127 Wrocław

https://www.facebook.com/events/248427765749250/

Wystawa „Filmowy alfabet Andrzeja Pągowskiego”

Termin: 26.07 – 11.08

Miejsce: Galeria Polskiego Plakatu, ul. Św. Mikołaja 54/55, 50-127 Wrocław

Wstęp bezpłatny, w trakcie trwania Festiwalu cały tydzień od 12 – 18:00,

w dniach 7-11.08. czynne w godzinach 12:00 do 18:00, **w sobotę 11.08 – 12:00 do 16:00**

Kontakt dla mediów:

Agnieszka Pająk

agnieszka.pajak@mywaymedia.pl

kom: 608 631 620

Tekst i fotografie: materiały prasowe organizatorów

Na zachodnich rubieżach Słowiańszczyzny



Florian Śmieja w Dreźnie nad Łabą, fot. arch. Z. i F. Śmiejów.

Florian Śmieja

Amerykańskie biuro podróży specjalizujące się w ambitnych wycieczkach dla wychowanków kanadyjskich i amerykańskich uczelni wyższych, ogłosiło kilka lat temu dwutygodniową wyprawę do Czech, Niemiec i Polski. Jedną z atrakcji stanowił spływ luksusowym statkiem holenderskim po Wełtawie i Łabie z Pragi do Tangermünde przez Drezno i Magdeburg. Towarzyszyłem tej wycieczce w charakterze pokładowego instruktora, który m.in. miał obowiązek wygłosić kilka odczytów na temat zwiedzanych ziem.

Uczestnicy rekrutowali się spośród emerytowanych pracowników naukowych, urzędników państwowych i przedstawicieli wolnych zawodów. Byli tam lekarze, prawnicy, posłowie do parlamentu, a nawet minister z Quebecu. Speszyła mnie nieco lista lektury przesłana z centrali: dla Polski ktoś mało zorientowany przepisał książkę o getcie i powieści Jerzego Kosińskiego. Nie musiałem się jednak martwić o parametry moich wykładów, gdyż w sukurs przyszedł mi Philip Ryan, którego broszurę o rzece Łabie, każdemu z nas wręczono przed rejsem. Otóż na samym już początku sympatyczny autor bez owijania w bawełnę określił sytuację na tamtych terenach jako tysiącletnie zmaganie się żywiołu germańskiego ze słowiańskim i zapoczątkowanego właśnie na rzecze Łabie przez Henryka i jego syna Ottona I. Osiemdziesiąt kilka osób załadowało się na statek i po dwudniowym postoju i zwiedzaniu Pragi ruszyło w dół rzeki, korzystając z licznych na tym odcinku śluz. Niedaleko panującego na wzgórzu barokowego zamku Melnik wpłynęliśmy do Łaby. Stamtąd już było blisko do cudownych krajobrazów Szwajcarii Czeskiej przechodzącej w Saską, wśród wymyślnie rzeźbionych piaskowych skał i pierwszych niemieckich miejscowości turystycznych. Z kolei pojawił się potężny, historyczny zamek Königstein, gdzie August Mocny trzymał alchemika, który miał mu wyprodukować złoto, aż w końcu odkrył jak robić porcelanę. W czasie ostatniej wojny, w zamku więziono głównie oficerów francuskich i przechowywano skarby drezdeńskie. To w tamtejszej okolicy Weber miał znaleźć

natchnienie do sceny z burzą i diabłem do opery „Wolny strzelec’”, a ja wyobrażałem sobie, że natchnął go górnośląski Pokój, gdzie również przebywał i gdzie komponował.

Mijając różne malownicze osady założone przez Słowian, nadal noszące nazwy świadczące o swoim pochodzeniu, dopłynęliśmy do pałacu w Pillnitz, wzorowanym na chińskim pałacu w Kantonie. Ponoć importowani gondolierzy wozili Augusta Mocnego i jego gości (wśród nich hrabinę Cosel zanim została osadzona w Stolpen) do pobliskiego Drezna, które stało się jednym z najpiękniejszych miast Europy i nazwane zostało Florencją nad Łabą. Dziś również, podźwignąwszy się z barbarzyńskiego bombardowania, imponuje swoimi budowlami, operą i pałacem Zwinger. Liczne kościoły ozdobione złoconymi koronami świadczą o wielkiej epoce ambitnego elektora, a później króla Polski. To w pobliskim Loschwitz (wszystkie miejscowości, których nazwy mają końcówkę –itz są słowiańskiego pochodzenia objaśniła niemiecka przewodniczka) Schiller napisał swoją „Odę do radości”. W przypałacowej katedrze katolickiej odbywało się akurat polskie nabożeństwo (była niedziela) choć tylko garstka ludzi była w świątyni. W Dreźnie znajdziemy wspomnienia po Napoleonie i tam żył uroczy bajarz Karol May, którego przygodowe i podróżnicze książki zauroczyły pokolenia młodzieży, nim słyszała ona o Harrym Potterze.

Meissen, Miśnia była kolejną miejscowością nad Łabą. Na granitowej skale stoi zamek-katedra, symbol losów tego regionu. Saksonia była warownią ludów germańskich, ona opierała się Węgrom, Czechom i Słowianom Połabskim. Kiedy w dziesiątym wieku wyłoniła króla Henryka i jego syna Ottona, z bastionu obronnego, przekształciła się w forpocztę ruchu kolonizacyjnego i podboju wschodu zniewalając, asymilując lub tępiąc pogańskich Słowian na prawym brzegu Łaby. Układ papieża z cesarzem dał Niemcom szansę ekspansji militarnej i ekonomicznej pod wygodnym płaszczykiem niesienia wiary i cywilizacji. Wnet koloniści niemieccy zagospodarowali wielkie obszary dotąd słabo zorganizowane, względnie spustoszone przez najazdy tatarskie. To zamki pobudowane w Miśni, Magdeburgu i innych miejscowościach stały się bazami ekspansji wschodniej stwarzając zagrożenie dla mieszkańców tych ziem, a w końcu dla racji bytu ich politycznych organizacji.

Dziś Meissen to ładne średniowieczne miasto, które wyszło z wojny bez szwanku, a znane jest powszechnie z fabryki porcelany, którą również zaliczyliśmy na naszej trasie. Przeniesiono ją z zamku, gdzie powstała, by łatwiej było utrzymać tajemnicę manufaktury.



Zofia Śmieja przy motorówce na Łabie, fot. arch. Z.i F. Śmiejów.

Dalej płynęliśmy przez równinę do miasta Torgau mijając miejscowości przemysłowe. Powiedziano nam, że aczkolwiek 80% wody Łaby użytkowane jest przez przemysł, jest ona pięciokrotnie czyszczona zanim wraca do rzeki. Torgau to jedno z dobrze zachowanych dawnych niemieckich miast. W imponującym zamku chętnie rezydowali królowie Saksonii. W jego lochach nadal trzymane są niedźwiedzie. Luteranie zawiązali ligę w tym mieście, tam car Piotr Wielki spotkał się z Leibnitzem, a Napoleon miał kwaterę. Tam wreszcie amerykańskie wojsko nawiązało kontakt z oddziałami sowieckimi, lecz ku konsternacji Niemców zatrzymało się nie poszło dalej na niedaleki przecież Berlin.

Wpływając do Wittenbergi już z rzeki zobaczyliśmy kościół, do którego drzwi Luter przybił swoich 95 tez protestu. Zwiedziliśmy miejsca i pamiątki związane z reformatorem łącznie z jego i Melanchtona pomnikiem stojącym przed potężną budowlą ratusza. To ci dwaj ludzie ze spokojnego prowincjonalnego miasta zrobili głośny ośrodek protestu i religijnej rewolucji.

Nie zatrzymując się w Dessau i zostawiając za sobą jego słynny Bauhaus, który przetrwał wojenne bombardowania, dopłynęliśmy do największego na Łabie portu w Magdeburgu. Podziwialiśmy z odległości jego piękną sylwetkę, z której wyróżnia się wczesna, pierwsza gotycka katedra nad Łabą. Miasto od słowiańskich początków za Ottona I stało się ważnym emporium handlowym i ośrodkiem politycznym. Stamtąd prawo magdeburskie, jako nowoczesne, poszło na wschód i na południe. Miasto uległo zniszczeniu w wojnie trzydziestoletniej i ucierpiało w ostatniej wojnie. Na rynku nadal jednak stoi statua Złotego Jeźdźca, a niedaleki kanał i bliskie wejście Czech do Unii Europejskiej zapowiadają lepszą przyszłość dla wodnej komunikacji śródlądowej, tak dla Magdeburga ważnej.

Końcowym przystankiem na Łabie było urocze średniowieczne miasteczko Tangermünde z przyjemnej, czerwonej cegły. Zbudował je w czternastym wieku Karol IV usiłując z rzeki Łaby zrobić wygodną arterię dla handlu Czech z Niemcami i dalszej ekspansji merkantylnej na Morze Północne. Dziś możemy

podziwiać ciągle jeszcze jego zamek i potężne mury miasta.

Stanąwszy na brandenburskiej równinie znaleźliśmy się na piaskach, które stały się kolebką Prus, pojechali do Potsdamu, jeszcze jednej słowiańskiej osady, a potem stolicy starego Fryca, króla-rabusia, gdzie stoi jego ulubiony pałac, ale gdzie także na ironię podpisany został układ na mocy którego wiele mozolnie przez wieki zajmowanych ziem dostało się ponownie w słowiańskie ręce.

Komputerowa przyszłość



Joanna Sokołowska-Gwizdka

„The Future is here” – to hasło przewodnie naukowców, których zadaniem jest rozważenie kierunków w rozwoju komputeryzacji.

Komputery coraz bardziej ekspansywnie wchodzą w naszą codzienność. Masowo posługujemy się już internetem. Statystyki wykazują jak wielu przybywa corocznie internautów. Sieć i niezastąpiona maszyna stają się nieodłącznym elementem naszego życia. Szybkość w przekazywaniu informacji w ogromnym stopniu zwiększyła tempo rozwoju niemal wszystkich dostępnych nam dziedzin. Musimy jednak pamiętać o tym, żeby w szalonym wyścigu po coraz to nowsze technologie nie

zapomnieć o samym człowieku, o jego wygodzie i komforcie.

Po raz pierwszy czynnikiem ludzkim w informatyce zajęto się podczas konferencji w Gaithersburgu (USA) w 1982 roku. Wtedy pojawiły się pierwsze komputery osobiste, a o kierunku rozwoju nauki zaczęły decydować coraz liczniejsze grupy HCI *(Human Computer Interaction)*, zajmujące się połączeniem badań dwóch dziedzin, technicznej i humanistyczno-psychologicznej. Grupy te określają w jaki sposób coraz to nowsze technologie komputerowe mogą być łatwiejsze w praktycznym zastosowaniu przez człowieka. Przeprowadza się w tym celu szczegółowe badania psychologiczne, socjologiczne, etnograficzne, aby precyzyjnie określić potrzeby konkretnych grup ludzi, ich priorytety zawodowe, codzienne potrzeby oraz możliwości. Ustala się potem strukturę komunikacji między człowiekiem a maszyną, co służy do odpowiedniego projektowania interfejsów użytkownika.

Na konferencjach naukowych przedstawia się wciąż nowe projekty zastosowania komputerów w codziennym życiu. Podstawowymi funkcjami maszyny jest w tej chwili komunikacja oraz informowanie użytkownika, odpowiednie do sytuacji, w której w danej chwili się znajduje. Miniaturowe komputery pozbawione tradycyjnej obudowy, umieszczane w przedmiotach codziennego użytku, informują np. podczas jazdy samochodem o pogodzie, w domu o kończących się zapasach w lodówce, a w

muzeum przedstawiają wycinek historii sztuki.

Przyszłość rozwoju komputeryzacji idzie w kierunku przyspieszenia komunikacji międzyludzkiej oraz ułatwienia codziennego życia poprzez szeroko pojęte informowanie. Widoczna tendencja do miniaturyzacji systemów komputerowych i umieszczania ich w przedmiotach codziennego użytku, w zegarkach, notesach, a nawet w zabawkach dla dzieci, przybliży świat wirtualny, dzięki czemu życie ma stać się łatwiejsze i wygodniejsze.

Komunikację zrewolucjonizowały też powszechnie używane *smartphony*, którymi posługuje się niemal każdy. Dzięki nim można na bieżąco mieć dostęp do potrzebnych informacji np. o pogodzie, czy dojeździe do określonego celu.

Łatwy i szybki dostęp do informacji niesie też za sobą różne zagrożenia. Urządzenia bez przerwy nas monitorują, określają nasze położenie, potrafią rozpoznać czy idziemy, biegniemy lub jedziemy. Zbierają dane o naszych preferencjach i upodobaniach. Te informacje mogą służyć do śledzenia nas w każdym momencie życia, do zarzucania nas reklamami i ofertami. Taka jest cena za udogodnienia związane z komunikacją i informacją.

“22 Chaser” – pełnometrażowy film Rafała Sokołowskiego

Rafała Sokołowskiego zna wielu wielbicieli dobrego filmu na całym świecie. Mieszkał, studiował i wykładał w Toronto, a potem wyjechał do USA, gdzie teraz wykłada na uniwersytecie w Ohio, i tworzy.

W piątek 6 lipca 2018 roku w Carlton Cinema w centrum Toronto miała miejsce premiera jego debiutu fabularnego, pełnometrażowego filmu “22 Chaser”.



Rafał Sokołowski po pierwszym pokazie filmu „22 Chaser", fot. materiały prasowe.

22 Chaser to historia zdesperowanego kierowcy lawety, który decyduje się ścigać wypadki samochodowe i ryzykuje wszystko dla swojej rodziny. Jest to debiut reżyserski Sokołowskiego (*Trzy Matki, Dzień Siódmy, Lightchasers*) według scenariusza Jeremy'ego Boxena (*Imposters, Orphan Black, Killjoys*). W rolach głównych wystąpili: Brian J. Smith (*Sense 8, Red Faction: Origins, SGU Stargate Universe*), Raoul Trujillo (*Sicario*, *Cowboys and Aliens*), Tiio Horn (*What Would Sal Do?*, *Hemlock Grove*, *Defiance*), Aaron Ashmore (*Killjoys*, *Regression*), and John Kapelos (*The Breakfast Club*).

Film jest produkcją legendarnego Dona Carmody'ego (*Shadowhunters*, *Resident Evil Franchise*, *Chicago*), Daniela Bekermana (*The Witch*, *Bang Bang Baby*) i Aeschylusa Poulosa

(*Mary Goes Round*, *Sleeping Giant*).



Kadr z filmu, fot. materiały prasowe.



Kadr z filmu, fot. materiały prasowe.

Małgorzata P. Bonikowska: Zaczynałeś swoją przygodę z filmem w Toronto. Dzisiaj jesteś profesorem na uniwersytecie w Ohio. Opowiedz nam o tej drodze.

Rafał Sokołowski: Tak, ta przygoda ma kilka pokręconych rozdziałów. Po ukończeniu Narodowej Szkoły Teatralnej w Montrealu, Fundacja Eva Fox z Nowego Jorku ufundowała mi stypendium w celu kontynuowania nauki w kierunku przez siebie wybranym. Mogłem wybrać uczelnie na całym świecie. Wybrałem Państwową Wyższą Szkołę Teatralną im. Ludwika Solskiego w Krakowie, gdzie jako stażysta na wydziale reżyserii pracowałem pod skrzydłami Krystiana Lupy w teatrze Starym. Po powrocie z Krakowa napisałem scenariusz, który odbiegał formalnie od sztuki scenicznej, był to ewidentnie scenariusz filmowy, do mojego pierwszego filmu: “Lightchasers”. Zrobiłem ten film, a on zaprowadził mnie na wiele festiwali filmowych, na niemal wszystkich kontynentach. Wkrótce potem rozpocząłem MFA w produkcji filmowej na York University, a po ukończeniu go zacząłem uczyć filmu, reżyserii i aktorstwa na York University i na uniwersytecie Ryerson. Potem były kolejne filmy, super nagroda na festiwalu EKRAN i propozycja reżyserii pełnego

metrażu z Canadian Film Centre, Telefilm Canada i Movie Network. W pewnym momencie zainteresowała mnie możliwość wykładania w amerykańskiej szkole filmowej. Uniwersytet Ohio to bardzo prestiżowa szkoła, ze świetną obsadą profesorów i twórców filmu. To była dla mnie bardzo ciekawa propozycja. Ten krok w pewien sposób pozwolił mi spędzić ostatnie dwa lata na pracy nad scenariuszem i później reżyserią "22 Chaser". To wszystko jakoś się zbiegło razem w tych ostatnich latach, albo ja temu trochę pomogłem ????

M.P.B.: Był też teatr czy dzisiaj odszedłeś od niego zupełnie w krainę filmu?

R.S.: Nie do końca. Teatr jest i mam nadzieje pozostanie bardzo bliski mojemu sercu. Jest kilka tekstów, które bardzo bym chciał zrobić na scenie. Oczywiście wszystko to kwestia czasu. Robienie filmów to kompletnie obsesyjna praca. Większość moich kolegów filmowców tak jak i ja pracuje nad kilkoma projektami równolegle i zostawia mało miejsca na inne muzy. Ale mam nadzieję, że coś zapuka do moich drzwi w odpowiednim czasie, bo bardzo chętnie zagubiłbym się w teatrze z jakąś ciekawą sztuką i grupą zdolnych aktorów. Oczywiście moją "teatralność" znajduje przekaz na ekranie. Wydaje mi się ze znajomość psychologii i emocji postaci to coś co wyniosłem z teatru i co stosuje dość sprawnie w pracy na planie, podczas prób, albo analizy scen.



Rafał Sokołowski na planie filmu, fot. materiały prasowe.

M.P.B.: Zaczęło się do filmów krótkometrażowych, a dzisiaj jesteśmy po oficjalnej premierze Twojego debiutu fabularnego, pełnometrażowego. Czy krótki metraż już Cię nie satysfakcjonował?

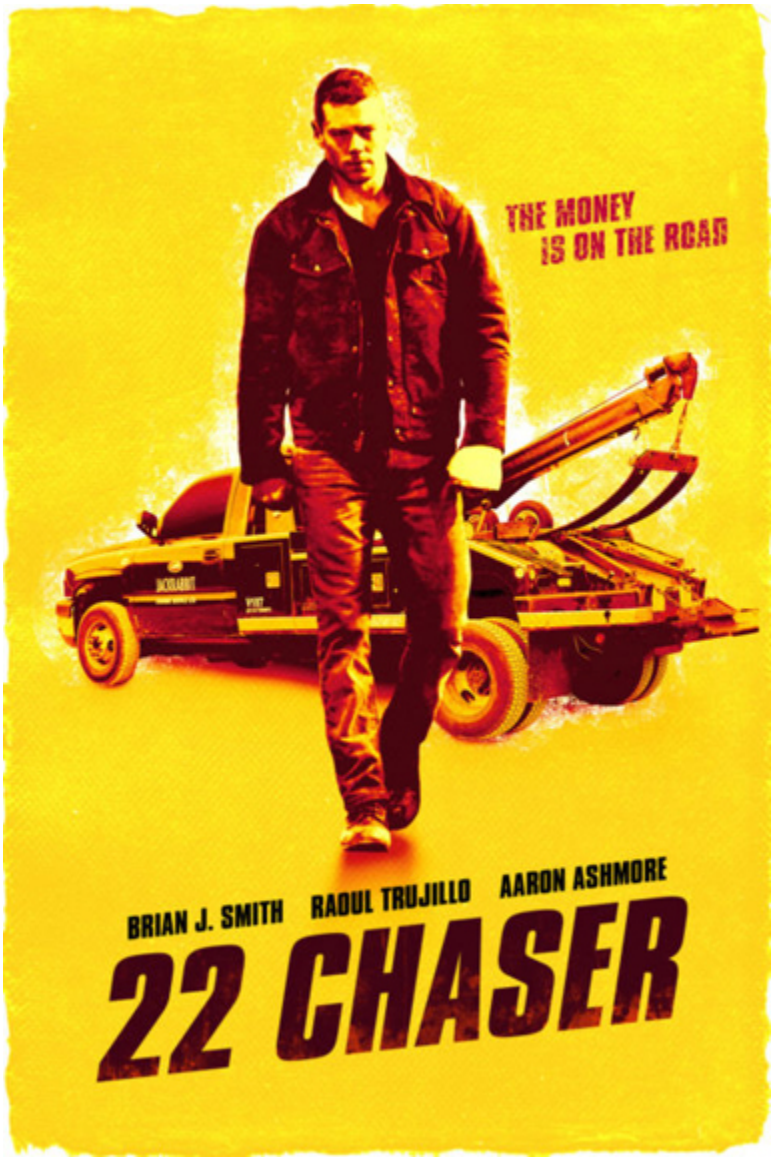
R.S.: To bardziej tak, że fabuła pełnometrażowa fascynuje mnie

obecnie bardziej niż krótki metraż, przynajmniej na razie. Chodzi tu o inny rodzaj konceptu, na jaki pozwala. Pewne historie nadają się świetnie do krótkiego filmu, a pewne nie. Mnie chyba łatwiej opowiadać te drugie, mając więcej pola do rozwinięcia akcji, rozwoju postaci i w ogóle czasu na ekranie. Pewnie zrobię jeszcze krótki film, ale na razie koncentruje się na historii ekranowej w pełnym wymiarze. To pozwala mi wbić zęby w temat i odsłonić go w szerszy, głębszy sposób. To pozwala pokazać zachowania tej samej osoby w kontrastowym świetle – ta rozpiętość zachowań i postaw i ich częsta sprzeczność czy przeciwstawność, to jedna z rzeczy, która fascynuje mnie najbardziej w naturze ludzkiej pełen format pozwala mi ją studiować.

M.P.B.: Masz na swoim koncie kilka znaczących filmów. Poza formatem, w czym ten ostatni jest odmienny od poprzednich?

R.S.: "22 Chaser" jest bardzo różny tematycznie od moich poprzednich filmów. Widzowie, którzy znają moje poprzednie filmy: "Lightchasers" (2007), "Three Mothers" (2009), "Beneath Us" (2010), "Shifters" (2011) albo "Seventh Day" (2011), zobaczą zupełnie inny styl i inny gatunek historii i w ogóle inny warsztat z mojej strony. "22 Chaser" jest przede wszystkim pierwszym filmem, do którego nie ja napisałem scenariusz. Jeremy Boxen jest autorem scenariusza, a ja współpracowałem z nim przez sześć miesięcy rozwijając go przed produkcją. Jest to

film bardzo silnie osadzony w gatunku akcji, był niezmiernie skomplikowany produkcyjnie i to widać na ekranie. Po raz pierwszy pracowałem z mistrzami efektów specjalnych, pościgów, wypadków samochodowych i przemocy, które to stanowią świat filmu. Oczywiście w ten szybki i brutalny nurt akcji wpisana jest bardzo intymna historia człowieka. To mój ulubiony temat, w którym czuję się jak w domu – w tym aspekcie można doszukać się wielu nurtów poruszanych w moich wcześniejszych filmach. Co udało mi się rozwinąć w "22 Chaser" to ukazanie jak delikatne są nasze decyzje kiedy jesteśmy pod presją. Nawet te najprostsze wybory potrafią być karkołomne, bo większość nas "traci głowę" w panice. To była świetna zabawa pokazywać jak ten młody człowiek, nasycony ideałami i zainspirowany przyjściem na świat swojego syna, wpada w pułapki życia, jedna po drugiej. I im bardziej próbuje się z nich wygramolić, tym bardziej usuwa mu się spod nóg piasek, a on ląduje jeszcze głębiej na dnie. Jest w tym coś bardzo śmiesznego i przykrego zarazem, coś bardzo "z życia wzięte". Wydaje mi się, że ten dialog i kontrast pomiędzy jego dramatem a akcją na drogach Toronto procentuje, daje coś w rodzaju wypaczenia czystego gatunku: fuzji pomiędzy naturalistycznym dramatem obyczajowym i przekolorowanym i egzotycznym światem ścigaczy wypadków samochodowych.



M.P.B.: Twój najnowszy film ma już dystrybutorów w Kanadzie, w USA i poza naszym kontynentem. To duży sukces, prawda?

R.S.: Bardzo wiele rzeczy musi się zbiec żeby film w ogóle powstał. Jeszcze więcej, ciężka praca całego zespołu w rezultacie dała coś, do czego widzowie będą się mogli odnieść. Scenariusz, finanse, wizja reżysera, talent aktorów, lokacje, nawet rzekomo nieistotne decyzje na temat garderoby czy fryzury mogą zaważyć na tym czy scena będzie dobra czy nie. Im bliżej się temu

przyglądam tym bardziej rozumiem jak delikatne jest to przedsięwzięcie. W przypadku “22 Chaser” chyba się to udało. Już podczas pokazów przedpremierowych w ramach Narodowego Dnia Filmu Kanadyjskiego film został przejęty przez levelFILM do dystrybucji w Kanadzie. LevelFILM nie tylko przedstawił “22 Chaser” w kinach ale również umieścił go na platformie Video On Demand, gdzie ukazał się na iTunes, Vudu, Hulu i Amazon już 17 lipca. A jesienią będzie emitowany na kanale telewizyjnym The Movie Network. Oprócz tego, film jest reprezentowany na rynkach światowych (poza amerykańskich) przez Red Sea Media, a na rynku amerykański przez XYZ Films z siedzibą w Los Angeles. To od nich będzie zależało czy znajdzie się dystrybutor, który wypuści “22 Chaser” na największym rynku filmowym w amerykańskich kinach, w Nowym Jorku i w L.A. Trzymajmy kciuki.



Rafał Sokołowski z ekipą, fot. materiały prasowe.

M.P.B.: Jacy twórcy są Twoimi mistrzami?
R.S.: Zależy od czego ???? Mistrzami neo-neo-realizmu są dla mnie Bracia Jean-Pierre i Luc Dardenne, a mistrzami burzenia struktur narracyjnych bracia Coen. Mistrzem emocji i sentymentu jest Wong Kar-Wai, mistrzem dramaturgii Asghar Farhadi, a mistrzem moralnego niepokoju, Kieślowski ????

M.P.B.: Jakie masz marzenia i plany profesjonalne na przyszłość?

R.S.: Piszę scenariusz do nowego filmu pełnometrażowego, który mam zamiar zrobić w bardzo specyficznych warunkach, z małą obsadą i ekipą, i na bardzo odizolowanym planie opustoszałej farmy. Marzy mi się zrobić ten film w warunkach gdzie nie muszę się ciągle liczyć z czasem albo z gigantycznym budżetem.

Chyba tęsknię za powrotem do prostoty w procesie. Może to naiwne, ale widzę w tym szansę na głębszy kontakt z aktorami, z materiałem, ze sobą samym na planie, na wnikliwość przy budowaniu każdego momentu, każdej reakcji. W pewnym sensie, można powiedzieć, że rezygnując z zasobów chcę uzyskać większą kontrolę nad procesem – to wbrew rozsądkowi, ale tego się trzymam. W wielkonakładowej produkcji, jaką jest 22 Chaser, nie mogłem pozwolić sobie na szukanie rozwiązań na planie. Musiałem doskonale wiedzieć co i jak będę kręcił, czasami nawet miesiące przed zdjęciami – cała armia ludzi musiała to zaplanować i przygotować. Na przykład potrzebowaliśmy zgromadzić flotę kilkudziesięciu samochodów, wysoce wyspecjalizowanych i z wyglądem, który miał w pewien sposób utożsamiać się z ich kierowcami – tego nie można osiągnąć improwizując tuż przed rozpoczęciem zdjęć. I to jest fajne jako ćwiczenie warsztatu. W moim nowym filmie chcę uciec od zgiełku wielkiej produkcji i wsłuchać się bardziej w swój własny instynkt i w temat historii.

W zeszłym roku dziekan College'u na Uniwersytecie Ohio zgłosił przedwcześnie moją nominację na stanowisko profesora nadzwyczajnego. Przystąpię do promocji w tym roku. To dla mnie ważny krok. Mam nadzieję, że teraz będę jeszcze bardziej mógł łączył moją pracę pedagogiczną z pracą twórczą i reżyserską, i dzielić się moimi doświadczeniami z planu ze studentami.



Rafał Sokołowski po premierze, fot. „Gazeta:.



Rafał Sokołowski z żoną Ginger, fot. „Gazeta”.

Małgorzata P. Bonikowska

PO PREMIERZE:

Film “22 Chaser” ma ogromną moc fenomenalna gra aktorów, znakomite zdjęcia, tempo, a jednocześnie głębia psychologiczna postaci. Świetna reżyseria. Koniecznie go trzeba zobaczyć. Długo się o nim myśli i trudno zapomnieć zarówno wiele scen jak i same dylematy bohatera filmu. Toronto, jakiego nie znamy, ale jakie istnieje tuż obok nas. Koniec? Dyskusyjny, ale prawdopodobnie o to chodziło scenarzyście. Świetna premiera i

ciekawa dyskusja. BRAWO!!!

• Oto informacja od Rafała Sokołowskiego: Film był na drugim miejscu po pierwszym tygodniu pokazów w kinie Carlton. Gratulacje!!!

_____

Recenzja filmu:

https://www.thegate.ca/film/034607/review-22-chaser/

Krótka rozmowa z Rafałem w 55 odcinku POLcastu:
http://www.mypolcast.com/2018/07/episode-55/
Wywiad pochodzi z „Gazety" – dziennika Polonii w Kanadzie. Za udostępnienie dziękujemy! http://www.gazetagazeta.com

---

Pięć kart pocztowych



A. i Z. Korzeniowscy, fot. arch. R. Sawickiego.

Ryszard Sawicki

„Pocztówka – Postkarte – Carte Postale – Otkrytoje Pismo – Perepisnyj Listok”, taki jest nadruk na kartce pocztowej, tuż przy znaczku. Na drugiej stronie brak jakiejkolwiek ilustracji, jeszcze tylko drobnym drukiem: „Wydawn.sal.mal.polsk. Kraków 1903, Serya 62.L.2, Naśladownictwo zastrzeżone”. Znaczek tuż nad „Wielmożna Pani”, imieniem i nazwiskiem i nazwą

miejscowości, bez numeru domu czy nazwy ulicy, te nie były potrzebne, adresatka była dobrze znana listonoszowi w niewielkim Buczaczu nad Strypą.

Znaczek jest uszkodzony, lecz dobrze widać profil starego człowieka z bokobrodami. To Franciscus Josephus I jak informuje napis tuż pod brodą cesarza. „Kaiserliche-Koenigliche Oesterraichische Post", 5… groszy czy…, zastanawiam się… nie wiem. I pieczątka, okrągła: Lwów… reszta zamazana.

Na pocztówce tylko kilka słów: *Serdeczne pozdrowienia i ucałowania wszystkim. Wczoraj byliśmy na pogrzebie wuja kapitana, a potem u Kukackich. Ciocia Binia także. Dziś jedzie z wujem H. do Radziechowa na jeden dzień*. Lwów, 17.II.1908. Wszystko ładnym, równym pismem.

Każde słowo z tej pocztówki odczytywałem nie raz, to jedyne słowa wuja matki, Władysława, które zachowały się w korespondencji. A Ciocia Binia…

Była jedną z trzech córek Tadeusza Nałęcz-Korzeniowskiego i Albiny Kukackiej. Dwie jej siostry to Maria, moja prababka i Leopoldyna (Lunia). Tadeusz i Albina mieli też dwóch synów, Henryka i Stanisława.

Na pocztówce adresowanej do Stefanii i Władysława Iżewskich

(mojej ciotki i wuja), podpisały się obydwie siostry: Albina i Leopoldyna. Była to pocztówka z życzeniami na święta Wielkanocne w 1937 roku. Wysłana została z Barysza, o czym świadczy stempel na dwóch znaczkach pocztowych, jednym zielonym za 10 groszy przedstawiającym Morskie Oko w Tatrach, drugim za 5 groszy, przedstawiającym Pieskową Skałę. *Szczęśliwych, miłych i wesołych świąt, szczerze oddane*… pisała ciocia Lunia. Na odwrocie są ilustracje plebanii i kościoła (rok budowy: 1602, dopisała ciotka piórem), na drugiej szkoła powszechna z 1909 roku (też data naniesiona ręcznie).

Ciotki wymienione są jeszcze na innej karcie pocztowej, która ocalała. W styczniu 1947 roku Zdobysław Korzeniowski pisał do mego dziadka, Stefana Czekanowskiego: *Dziś otrzymałem list z 23, dziękuję za wiadomości. Nie wiem jak teraz Ciocia Lunia poradzi sobie bez pomocy Cioci Bini.*



Siostry Korzeniowskie, Albina i Leopoldyna, fot. arch. R. Sawickiego.

W 1947 roku siostry Albina i Leopoldyna Korzeniowskie już nie żyły. Nie żyła też moja prababka Maria. Ale o śmierci Leopoldyny jeszcze nikt w rodzinie nie wiedział. Została w swoim Baryszu, wśród obcych ludzi. Nie chciała wyjeżdżać na obcą ziemię, do Bytomia, gdzie osiedli moi dziadkowie, czy do Wrocławia, gdzie osiedli moi rodzice. Została w swoim dworku, na utrzymaniu jednej ze służących. Sama nie potrafiła się utrzymać ani zarabiać na życie. Służącą aresztowano wkrótce, a ciocia Lunia, kaleka od wczesnych lat swego życia, zmarła, przypuszczalnie z głodu.

Na kartce z 1947 roku doktor Zdobysław Korzeniowski pisał też o tym jak jego rodzina radzi sobie w Warszawie. *U nas wszystko w porządku, trzymamy się zdrowo, mimo ciężkiej podróży jaką mieliśmy. Ja jeszcze nie pracuję, podobnie jak Ewa, chociaż już trzeba o tym myśleć. Na razie zima odstrasza, a ściśle mówiąc dojazdy do Warszawy o ile tam się uda coś znaleźć. Irka i Ewa chodzą do przedszkola, warunki mieszkaniowe mamy na razie marne. Czy znacie adresy innych członków rodziny?*

Po wysiedleniu z okolic Buczacza i Barysza wszyscy próbowali się odnaleźć. Wuj Zdobysław pisał do swojej ciotki, Luni, ale tak on jak i inni krewni nie dostawali odpowiedzi. Zza nowej wschodniej granicy odpowiedzi rzadko dochodziły.

Było to szczególne zrządzenie losu, bo ciocia Lunia (była babką cioteczną mojej matki, ale matka nazywała ją ciocią, więc i ja tak nauczyłem się ją nazywać) prowadziła przez kilkanaście lat agencję pocztową w swoim domu. Nie mogła pracować poza domem ze względu na to, że z trudem chodziła (jedną nogę miała znacznie krótszą, po wypadku w dzieciństwie). Praca ta nie dawała prawa do emerytury w cesarstwie austriackim, lecz ciocia Lunia napisała do cesarza i kancelaria dworska przyznała jej jakąś kwotę. Rząd polski uznał to prawo po pierwszej wojnie światowej. W czasie okupacji radzieckiej emerytura przychodziła nadal, ale była to kwota zbyt mała by się utrzymać. Ciocia Lunia napisała więc do Stalina (tak, bezpośrednio do niego, bo, jak

uważała, wypadało jej pisać wprost do głowy państwa) i ku zdziwieniu wszystkich członków rodziny otrzymała odpowiedź… odmowną, za to z pouczeniem o zmianach terytorialnych (nie znam dokładnie treści tego pisma, lecz domyślam się, że był w liście ciotki jakiś szczegół dotyczący jej pracy w powiecie Buczackim). Podczas kolejnej okupacji ciotka pisała też do Hitlera (bezpośrednio, a jakże), lecz i na ten jej list przyszła odmowna odpowiedź… ale przyszła.

Dzisiaj nie mogę sięgnąć do tych dokumentów. Zachowały się tylko karty pocztowe, z których skopiowałem parę zdań. O swojej prababce, Marii, pamiętam tylko to co mi opowiedziano, nie mogę znaleźć jej imienia w żadnym liście. Była drobną dziewczyną o ciemnych włosach i regularnych rysach twarzy, którą szpecił zez. Wyszła za mąż w wieku lat piętnastu za dużo starszego Jana. Pradziadkowie musieli uzyskać specjalne pozwolenie na ślub. Prowadziła dom, miała dzieci. Mój wuj, Zbyszek, wspominał ją jako osobę kłótliwą i lubiącą narzekać. Umarła wcześnie z powodu upadku z drabiny, na którą weszła by wyręczyć w czymś służącą. Zachowała się duża rodzinna fotografia, na której prababka Maria siedzi obok pradziadka: on otyły, wysoki, ona mała, drobna, w okularach z grubymi szkłami. We wszystkich rodzinnych opowieściach nie ona królowała lecz jej dwie siostry, które nie założyły własnych rodzin (ciotka Binia wyszła wprawdzie za mąż za niejakiego Łopatyńskiego, ale nawet wuj Zbyszek, kronikarz rodziny, zanotował tylko jego herb, nie

podał imienia; małżeństwo to trwało kilka miesięcy). Ciotki matki prowadziły dom otwarty, w którym dużo się działo, dużo więc można było opowiadać. Przyjeżdżali do nich krewni i wielu znajomych, często z miejscowości odległych o więcej niż sto kilometrów. Ciocia Lunia i ciocia Binia miały dobrych znajomych nawet w okolicach Soliny.

Z tymi solińskimi znajomymi łączy się opowieść wuja Zbyszka, który bywał u nich podczas szkolnych wakacji, a potem był raz jeszcze, tuż przed zalaniem terenów wodą gromadzoną już przez zaporę.

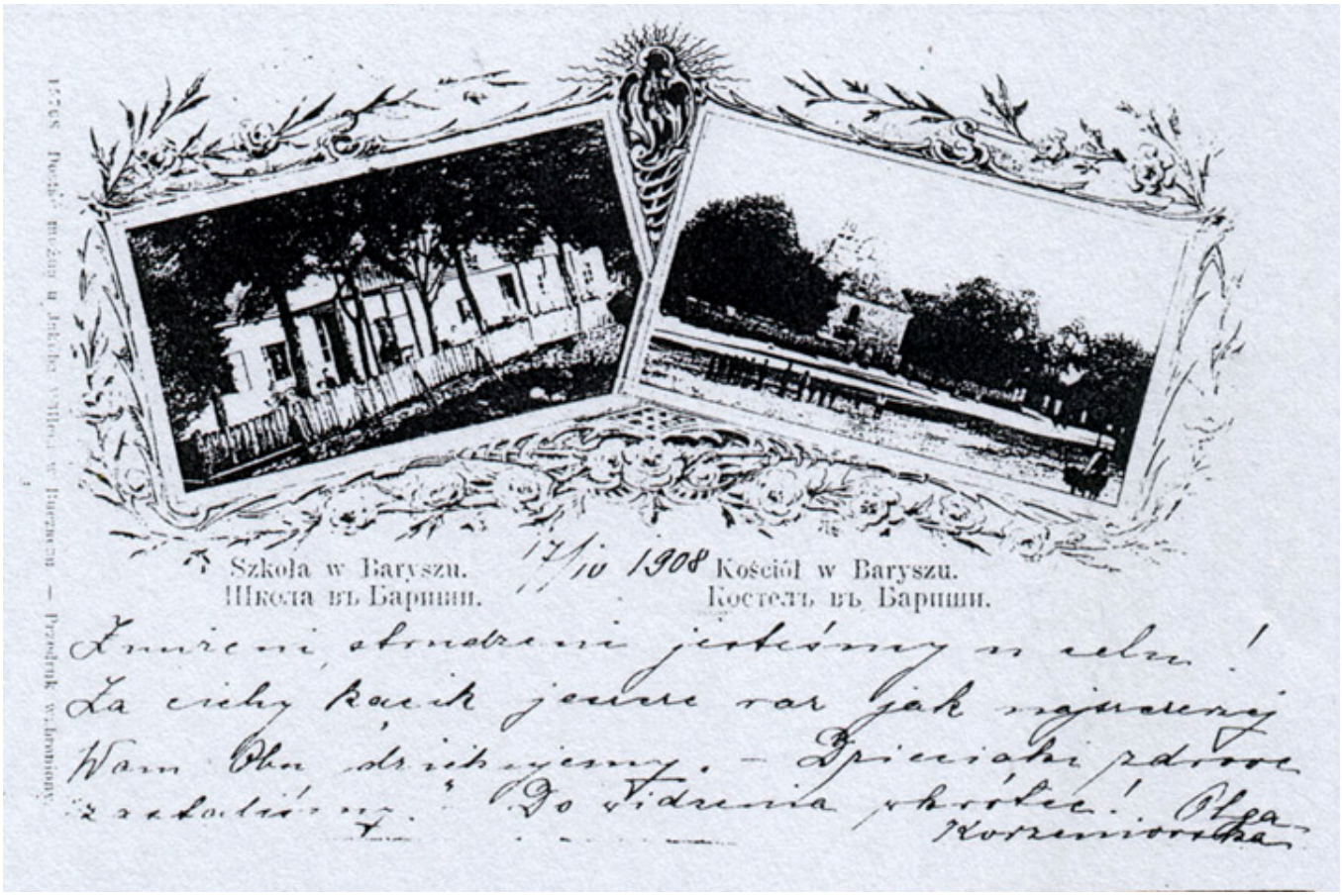
Wujo spędził we wsi Solina, leżącej u ujścia Solinki do Sanu kilka letnich sezonów. Była to wówczas wieś licząca około tysiąca chat, zamieszkała wyłącznie przez rodziny Terleckich, Podkaliskich i Orłowskich. Mówili oni po rusku, posiadali nadania królewskie, należeli do Związku Szlachty Zagrodowej, który powstał na tamtych terenach w latach trzydziestych. Była to wieś bogata, bo mieszkańcy mieli krewnych w Stanach Zjednoczonych i wyjeżdżali tam do pracy. Wieś ta była własnością rodziny von Kronenfeld od połowy dziewiętnastego wieku. Kronenfeld, który był znajomym Korzeniowskich, prowadził gospodarstwo wzorowo, lecz widocznie nie bardzo mu się to opłacało, bo sprzedał posiadłość niejakiemu Jankowskiemu zostawiając tylko resztówkę jednej ze swoich córek, Oldze. Posiadłość Olgi, w której bywał mój wuj, znajdowała się na

pięknie położonym wzgórzu nad zakolem Sanu, w pobliżu małej cerkwi. U stóp dworu znajdował się ogród i sad. Naprzeciw wznosiła się góra Jawor. Wiejskie chaty ciągnęły się malowniczo wzdłuż Sanu i Solinki.

Pani Olga była starą panną. W prowadzeniu gospodarstwa pomagała jej sprowadzona z Niemiec Frau Luisa. Fraeulein von Kronenfeld, jak ją wszyscy nazywali, prowadziła, podobnie jak ciocia Lunia, agencję pocztową, która obsługiwała kilka miejscowości w okolicy. Wysoką, prosto trzymającą się kobietę widywano często na polnych drogach jak szła wspierając się na Alpenstocku niosąc dużą białą torbę. Torba była pełna leków, które Pani Olga rozdawała za darmo. Co drugi rok wyjeżdżała do kogoś ze swego rodzeństwa. Jedna z sióstr była zakonnicą w Australii, dwie inne w Indiach. Czwarta siostra, zamężna, mieszkała w Stanach Zjednoczonych, inna wyszła za mąż za właściciela ogromnych plantacji w Kongo. O tej ostatniej opowiadano, że do najbliższej stacji kolejowej podróżowała w lektyce przez wiele dni. Jeszcze inna siostra wyszła za mąż za Waldecka i mieszkała w Niemczech. Pani Olga była częstym gościem rodziców mego wuja Zbyszka we Lwowie, z którymi była złączona zresztą dalekim pokrewieństwem.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.

Dom pani Olgi, położony na odludziu, nie był popularnym miejscem spotkań. Wujo był jednym z nielicznych gości. Był to rejon żyjący własnym życiem, gdzie dojeżdżało się z ustianowskiej stacji furmanką. Nawet pop przyjeżdżał do miejscowej cerkwi tylko raz na miesiąc.

W Sanie płynęła czysta woda. Rzeka była bogata w ryby, które łowiono nocą, wypływając na dłubankach, przy świetle kaganków z węglem drzewnym zawieszonych na długich kijach. Ryby nabijano na ościenie. Tak spędzał noce i mój wujo, zapraszany na połowy przez rówieśników. W dzień natomiast chodził do lasu, bo w lasach solińskich było mnóstwo grzybów i jagód.

Wujo opowiadał też, że bywał w sąsiednim dworze w Zabrodziu. Gospodarzył tam Czech, który zelektryfikował swoją posiadłość czerpiąc energię z własnej elektrowni wodnej. Uwielbiał muzykę i nawet wszystkie drzewa w ogrodzie kazał strzyc na kształt instrumentów muzycznych. Inne dwory były w Polańczyku, Myczkowie i Bóbrce. Wszystkie te miejscowości zalane zostały przez spiętrzone wody zapory.

W czasie jej budowy nie pamiętano już lokalnej historii, bo nie było tam już nikogo z dawnych mieszkańców. Wuj został zaproszony jako ekspert przez inżyniera Józefa Krzeptowskiego do oceny jakichś maszyn i mógł wtedy rozglądnąć się jeszcze raz

po okolicy swego dzieciństwa. Inżynier Krzeptowski asystował przy ekshumacji zwłok przeprowadzanej na lokalnym cmentarzu i wspomniał o grobie Niemki. Był to grób Frau Luisy, gospodyni pani Olgi.

Domy rodzinne w Buczaczu i Baryszu padły ofiarą innego potopu, potopu wojennego.

Zachowały się tylko zdjęcia tych domów, na ich podstawie zrobiłem rysunki, by cieszyły oko w smutne dni. Lubię na nie patrzeć, wspominać. Wywoływać z pamięci, zbiorowej pamięci pokoleń, to co w niej tylko istnieje, nigdzie indziej. Wdzięczny jestem wtedy wujowi, że spisał to co sam pamiętał, a także matce i ciotkom, że wracały pamięcią do tamtych okolic, których ja nigdy nie widziałem, że przekazały mi ich obrazy. Kiedyś nie lubiłem słuchać tych opowieści, wydawały mi się nudne, poza tym powtarzały się, te same, raz po raz. Ale przecież tak przetrwały Wtedy, nim zostały spisane, powtarzam dziś sobie.

Matka często wracała do „swojego" domu… zwłaszcza przy okazji Bożego Narodzenia. Do swojego, chociaż tamten dom był tylko domem jej dzieciństwa, dorosłe życie spędziła przecież nad Odrą, nie nad Strypą. Jednak tamten dom jest dla niej bardziej „swój" niż ten, w którym przeżyła ponad 50 lat. „Do tych pagórków leśnych"… nie można było się zbyt usilnie przyznawać tak długo, więc na stare lata przyznawać się chyba należy tym

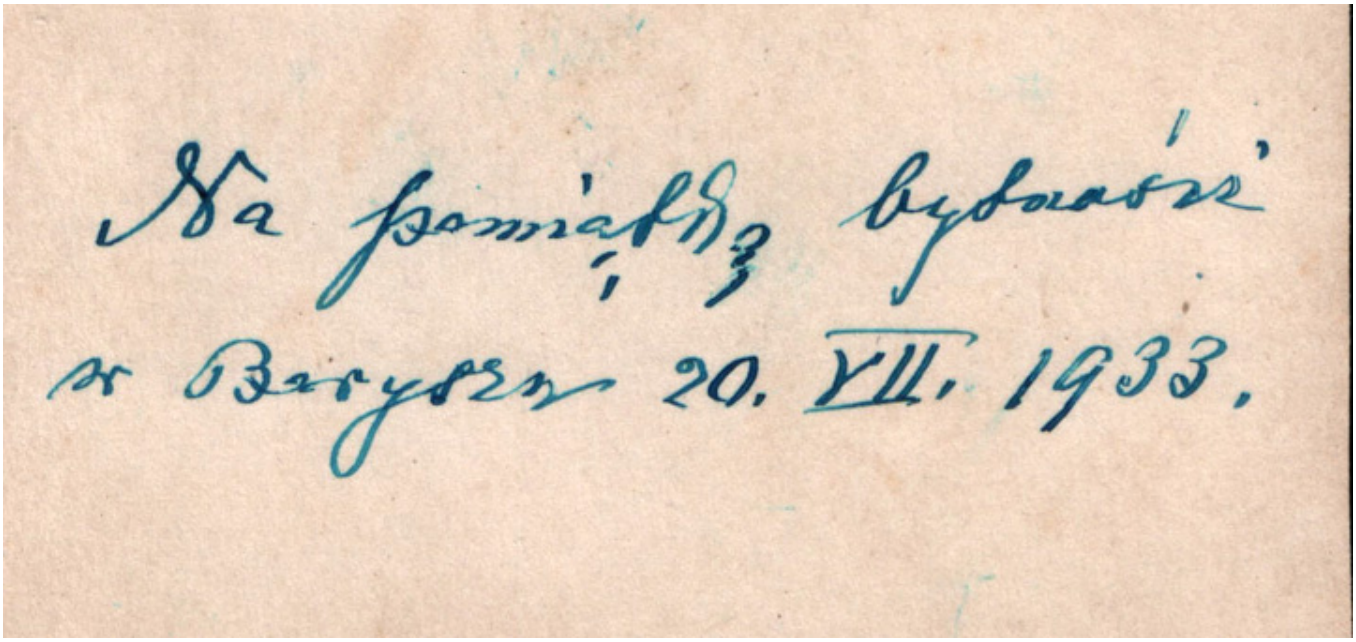
bardziej. Zaczynam rozumieć rozterki rodziców coraz lepiej, w miarę jak sam coraz mniej wiem czy mój dom to raczej ten nad Pacyfikiem, czy ten nad Odrą… bo przecież nie mogę zbyt usilnie upierać się, że jednak ten nad Strypą, skoro nigdy go nie widziałem.

Ale i tamten dom, który istnieje dla mnie tylko na rysunku, jest jakoś „mój”… nie wiem dokładnie jak, ale przecież nie czułbym się w nim całkiem obco… gdyby wróciło to, co nie wróci, jak tłumaczył cichym, melancholijnym głosem bard moich lat dojrzewania, Bułat Okudżawa.

„Nie wróci i szat rozdzierać nie warto”…, ale przecież warto pamiętać.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, podpis na odwrocie fotografii, fot. arch. R. Sawickiego.

Tamten dom, w którym urodziła się matka, na wysokiej skarpie,

w olbrzymim sadzie. O ścianach ze starych, wielkich pni. Z małym balkonem biegnącym wzdłuż frontowej ściany, na wysokości krawędzi drzwi wejściowych. Okno pokoju matki było po prawej stronie domu, a po lewej patrząc na fotografię.

Pamiętać też warto, mówię sobie, tak pamiętać, by można było narysować z pamięci, jeszcze ładniejszy dom ciotek matki, Korzeniowskich. Był on nie w Buczaczu, lecz w położonym 15 kilometrów od Buczacza Baryszu, miasteczku liczącym przed wojną, czyli przed dwudziestowiecznym potopem, 5 tysięcy mieszkańców, w tym 3000 Polaków i 2000 Ukraińców. Polacy, którzy tam mieszkali, pochodzili przeważnie z Mazowsza. Wieś była własnością książąt Świdrygiełłów, których dwór stał na uboczu, dobrze wrośnięty w ziemię. Zabudowania miasteczka biegły po dwóch ramionach kąta prostego, z których jedno było polskie, a drugie ukraińskie. W miejscu przecięcia się ramion był duży plac, przy którym stał kościół, cerkiew, szkoła i karczmy żydowskie, wszystko w najlepszej zgodzie. Szkoła i kościół widnieją na pocztówce z 1908 roku podpisanej przez Olgę Duńczewską, żonę Henryka Korzeniowskiego, który był sędzią w Radziechowie. W tej szkole uczył mój pradziad, a także dziadek Jan Czekanowski.

Dwór Nałęcz-Korzeniowskich był, zgodnie z tym co o nim mówił wujo Zbyszek, bardziej okazały od starego dworu Świdrygiełłów. To właśnie w tym dworze rezydowały obie ciotki matki, Lunia i

Binia. Miał dwa wejścia, jedno od ogrodu, z szerokimi schodami wiodącymi na mały taras przy drzwiach z kolumnami, drugie od strony bardziej „urzędowej”, do którego podjeżdżały pojazdy konne lub motorowe (tych pierwszych było więcej za życia ciotek) z gośćmi lub interesantami odwiedzającymi agencję pocztową. Przed wojnami światowymi wydana została pocztówka, na której uwieczniono tę część dworu ze stojącym na podjeździe powozem. Bacznie wpatrując się w spłowiały obraz przez szkło powiększające można zauważyć kilka postaci. Ktoś schodzi po schodach z boku domu, jest ubrany w mundur austriacki, ktoś inny idzie wzdłuż ściany. Jeszcze inną postać można dostrzec w cieniu pod drzewem. Na schodach od ogrodu stoi dziewczynka w kapeluszu z kotem i książką w ręce. Nie wiem kto to jest.

W czasie pierwszej wojny ciotki opuściły dwór, wyjechały do Austrii. Kiedy wróciły po dwudziestym roku, zastały go w strasznym stanie. Został obrabowany i jego wnętrza już nigdy nie wyglądały tak jak przed wojną. Budynki gospodarskie spłonęły. Siostry Korzeniowskie wyremontowały niektóre pomieszczenia, odzyskały trochę mebli. Jednak całość pozostawała w stanie tak zwanej „trwałej ruiny”. Co można było zrobić bowiem w pokoju, w którym stały konie czerwonej brygady? Nadawał się do całkowitego remontu, a osoby, które podróżowały nawet na skromne zakupy do Lwowa trzecią klasą, nie mogły sobie pozwolić na wielkie remonty.

Wujo wspominał, że wychodził często na dworzec na spotkanie obu pań. Śmieszyły go zwłaszcza ich walizki z wikliny, zamykane na stalowe kłódki. Obszyte były konopnym płótnem ozdobionym czerwonymi wstążkami. Na surowym płótnie widniały monogramy z wielkimi pięciopałkowymi koronami. Ojciec wuja miał z nimi dużo kłopotu, bo ciocia Lunia uważała za stosowne targować się w lwowskich sklepach. Zdumionych sprzedawców trzeba było uspokajać rozmaitymi sygnałami, że wszystko w porządku, że dostaną całą należną im sumę.

Chociaż ciotki miały rozległe stosunki towarzyskie w okolicy, nie podróżowały wiele. Nie znały świata, w którym swobodnie poruszał się ich krewny Józef Conrad. Świat, w którym się zagubił był dla nich obcy. Już Kongo jednej z sióstr Kronenfeld musiało im się wydawać miejscem mało realnym, co dopiero conradowskie „Jądro Ciemności”.

Obcy, brutalny świat zapukał do ich drzwi kolbami karabinów Czerwonej Armii po raz drugi, kiedy były obecne w domu. Tym razem nie zdążyły, czy może nie miały siły by uciekać. Zginęły w gruzach tego, co uważały za własne i czego nie opuściły tak jak to zrobiły podczas poprzedniej wojny.